

ROZDZIAŁ II

Komórka dzwoniła już dłuższą chwilę, gdy zorientował się, że to nie dźwięk z reklamy telewizyjnej, na którą akurat gapił się bezmyślnie, pijąc już chyba czwarte z kolei piwo. W lokalu, jak zwykle, towarzystwo było lekko zawiane i w większości raczej mu znajome chociażby z widzenia. Kilku znanych mu nierobów, dwie lub trzy panienki bez opiekunów i paru wyraźnie podpitych osobników, których nie znał. Wraz z chłopakami z wydziału opijali premię przyznaną im przez komendanta za wyjaśnienie sprawy napadu na jeden ze sklepów w centrum miasta. Dostali niewiele, bo po 150 – 200 zł, ale i to było przecież coś warte, bo pozwalało na spędzenie kilku godzin w oderwaniu od wszystkich życiowych brudów, z jakimi się w pracy codziennie spotykali. No i co też było ważne, beztrudnie wydanie tych pieniędzy nie obciążało ich domowych budżetów, skrzętnie pilnowanych przez czujne na ich wypadki żony.

Dzwonek telefonu wibrował w uszach natrętnie.

Wcisnął klawisz i usłyszał wyraźne zdenerwowany głos Romana Żeleźnika, naczelnika wydziału kryminalnego, którego od kilku lat był zastępcą i kolegą zarazem.

- Co ty, kurwa, Pałka porabiasz? Dlaczego nie odbierasz tego cholernego telefonu? Dzwonię już trzeci raz. Stara mówi, że do domu jeszcze nie wróciłeś, komórki nie odbierasz. Co jest do cholery? Gdzie jesteś? - głos Żeleźnika wskazywał na wyraźne zdenerwowanie.

- Nnnnoo... tu... w przychodni.

- Gdzie, w jakiej przychodni? Chory jesteś? Przecież nic nie mówiłeś.

- No, tu obok, w „Maratonie”. Opijamy te premie.

- No to mów chłopie po ludzku i jakąś durnowatą przychodnią dupy mi nie zawracaj – podniesiony głos i szybkość wypowiedzianych słów wskazywały na rosnącą irytację naczelnika.

A chłopaki są? Jak są, to zabierajcie się do firmy, bo mamy trupa i to raczej zabójstwo. Macie być migiem. Ja już tam jadę.

- Gdzie? Tu do nas? - Pałka był wyraźnie zdziwiony i zaskoczony.

- Nie, nie do was, do jasnej cholery. Nie rozumiesz, co do ciebie mówię? Jadę do wydziału. Doszło już? - zapytał po chwili milczenia.

- No tak. Dobra, to my się też już zbieramy – spieszony Pałka chciał jak najszybciej zakończyć rozmowę i udobruchać poirytowanego szefa.

- Że też to się teraz musiało przydarzyć - pomyślał – Mu tu spokojnie, po pracy przecież, piwko sobie popijamy, a tłumaczyć się będziemy, jakbyśmy chlali na służbie.

- Kurde, jak to rozegrać, aby żadnej wpadki nie było? - zaczął się intensywnie zastanawiać nad najkorzystniejszym, ale zarazem najprostszym rozwiązaniem. Wiedział, że gdy do wydziału trafią wszyscy, a był przekonany, że na wieść o wydarzeniu wszyscy taką chęć wyrażą, to będą jak nic mieli przechlapane, bo z góry zakładał, że w komendzie pojawi się sam komendant Maj.

Jako nowy komendant miejski był jeszcze na etapie ekscytowania się każdym poważniejszym przestępstwem, bowiem każde takie zdarzenie stwarzało mu możliwość szczególnego wyeksponowania roli, jaką od niedawna zaczął pełnić

w Wałbrzychu. Jako komendant komisariatu nie miał większego znaczenia i praktycznie w mieście absolutnie się nie liczył, na czym cierpiało jego nadzwyczaj wybujałe ego. Teraz ci wszyscy, dla których wcześniej nie istniał, lub był przez nich wyraźnie lekceważony, tak jak chociażby lekceważący go wcześniej Żeleźnik, musieli się słuchać, a nawet bać. Świadomość tego sprawiała mu dużą przyjemność, czego nawet, nie tylko przed podwładnymi, nie potrafił ukryć. I dla tych właśnie chwil, dla tego poczucia władzy, w przypadku poważniejszych zdarzeń z miejsca pojawiał się w komendzie i dokonywał lustracji działań swoich nowych podwładnych. Ty razem trafiło mu się pierwsze od objęcia funkcji szefa wszystkich wałbrzyskich policjantów zabójstwo, z czego Palka wnosił, że w komendzie pojawi się niebawem i na pewno wyniknie z tego niezły cyrk.

Na szczęście dla nich, paru chłopaków na to piwo nie poszło, woląc otrzymane pieniądze zanieść jednak do domu, przez co mogli stanowić rezerwę do szerszych działań. Szybko połączył się z Jackiem Słowackim, pełniącym w wydziale popołudniowy dyżur, chcąc zlecić mu pilne ściągnięcie tych, którzy na grupowy wypad do piwiarni się nie zdecydowali. Bez zdziwienia przyjął informację, że Słowacki, jako stary policyjny wyga, chłopaków już powiadomił i od razu załatwił u oficera dyżurnego wysłanie po niektórych radiowozu. Przekazana informacja wywołała miłe uczucie ulgi, wynikającej ze świadomości, że bawiących się z nim chłopaków może praktycznie w większości odesłać do domu, przez co widmo ewentualnych kłopotów wyraźnie się oddaliło.

- Jacek, zbieraj ich szybko i niech wezmą od razu dwa wozy i niech na nas poczekają – zadysponował, aby nie było tak, że nic dyżurnemu nie polecił - Żeleźnik zaraz będzie w wydziale, więc się migiem zbierajcie. Ja zaraz też tam będę. Po tej rozmowie, która wyraźnie go odprężyła, poinformował będących z nim kolegów o zaistniałej niespodziewanie zmianie sytuacji.

- Chłopaki, jest trup. Zabójstwo. Który czuje się na siłach to wali ze mną do firmy, reszta wyłącza komórę i znika do domu. Tylko to ma być błysk, bo naczelnik już jedzie do wydziału, a i Maj zapewne też nas nawiedzi.

Wśród rozleniwionych piwem uczestników tej niewielkiej imprezki zawrzało, albowiem przekrzykując się wzajemnie, zaczęli deklarować swój stan trzeźwości i natychmiastową chęć udania się do komendy, znajdującej się w prostej linii około 200 metrów od knajpy.

- Palka, ty każ im wszystkim jechać do domu. Nie wyglupiaj się stary, bo będzie przypał – odezwał się jak zawsze flegmatycznie, Maciej Śmiechowski, zwany Śmiechem. Liczył się z jego zdaniem, albowiem posiadał w wydziale najdłuższy staż pracy, a więc i największe doświadczenie, a także najlepsze rozpoznanie wałbrzyskiego światka kryminalnego. Jego doskonale wręcz kontakty ze „złodziejami” zapewniały stały dopływ najświeższych informacji o różnych interesujących ich ludziach oraz zdarzeniach.

- Ja wiem Maciek, ja wiem – smętnie skomentował Palka – ale kogoś muszę zabrać. Tamtych czterech to będzie za mało, a przecież nikt specjalnie zamulony nie jest. Wezmą coś pachnącego go gęby i jakoś zleci – uspokajał kolegę i jednocześnie siebie samego.

Zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji. Wiedział czego może się spodziewać, gdyby Maj wyczuł od nich to nieszczęsne piwo, a nie mógł przecież z całą pewnością wykluczyć, że Maj do komendy przyjedzie. Pocięszał się, że jak zwykle, pałeczkę dowodzenia bardzo szybko przekaże swemu zastępcy Jerzemu Holendrowi, z którym nie powinno być żadnego kłopotu. Ale potencjalne zagrożenie jednak istniało.

Holendra nie musiał się obawiać, bo od lat był z nim w bardzo dobrej komitywie, co nikogo nie dziwiło z uwagi na to, że jako były działacz związkowy, Holender miał bardzo dobre kontakty praktycznie ze wszystkimi wałbrzyskimi policjantami, wśród do których, w kontaktach prywatnych, uważany był za przysłowiowego „brata łate”. Natomiast Pałkę traktował jak starego dobrego kumpla, czego wyrazem były, może niezbyt częste, wspólne wizyty w pobliskim klubie NOT na ul. Schmidta, w pobliżu centralnego punktu miasta, nazwanego nie wiadomo dlaczego Placem Grunwaldzkim, albowiem nie był to żaden plac, tylko skrzyżowanie pięciu ulic stykających się pod różnymi kątami. Oficjalnym powodem, dla których te spotkania organizowali, były rozgrywane po godzinach służby przez wałbrzyskich policjantów z wydziałów kryminalnych, partyjki w bilarda, będące faktycznie jedynie pretekstem do wypicia kilku drinków lub butelek piwa. Niekiedy kończyły się mniejszą lub większą popijawą, dającą okazję do prowadzenia długich i niekiedy emocjonalnych tak zwanych szczerych rozmów Polaków o wszystkim i niczym, czyli o pracy i przełożonych. Zazwyczaj w spotkaniach tych brali udział również najbardziej zaprzyjaźnieni z nimi pracownicy wydziału, chociaż nie wszyscy z nich potrafili grać w bilarda. W tym samym klubie i w tym samym celu, od wielu lat, swoje spotkania odbywali również ludzie z wydziału kryminalnego komendy wojewódzkiej, którego naczelnikiem był Zygmunt Drożdż. Przychodził tam z reguły w towarzystwie 3 – 4 kumpli wydziału i niejednokrotnie towarzyszyły im osoby płci obojga spoza firmy. Po likwidacji województwa komenda wojewódzka została również rozwiązana, a z całego jej składu pozostało tylko czterech pracowników operacyjnych, tworzących zamiejscową grupę realizacyjną wydziału kryminalnego KWP we Wrocławiu. Grupą tą kierował Drożdż i tak jak dawniej, w tym samym składzie, byli bardzo częstymi gośćmi klubu NOT. Te częste spotkania przy piwie i bilardowych rozgrywkach, spowodowały, że pomiędzy Pałką a Holendrem wykształciła się dosyć mocna nić wzajemnej sympatii, aczkolwiek o jakimś bardzo zażyłym koleżeństwie raczej trudno by było mówić. Jednak mimo tej dobrej komitywy, zdarzały się przypadki zadrażnień wynikające z różnicy zdań na temat sposobów lub kierunków, prowadzonych przez wydział działań operacyjnych. Te pojawiające się między nimi, co jakiś czas, niegroźne zgrzyty, wynikały przeważnie z braku większego doświadczenia Holendra w sprawach kryminalnych, z którymi Pałka, w odróżnieniu od niego, miał od wielu lat do czynienia na co dzień. Nie przeszkadzało to jednak Holendrowi w bardzo częstym narzucaniu swojego punktu widzenia na sposób realizacji prowadzonych działań operacyjnych i wytyczania ich kierunków. Ta przywara Holendra szczególnie irytowała Pałkę,

który na tych sprawach zjadł przysłowiowe zęby, ale z uwagi na swój pozbawiony wszelkiej agresji charakter, praktycznie zawsze Holendrowi ustępował, chociaż w jego ocenie Holender o metodach operacyjnego działania miał raczej blade pojęcie i bardziej kierował się intuicją niż praktyczną wiedzą. Była tak z uwagi na to, że poprzednio sprawowane przez niego funkcje kierownicze nie stwarzały mu specjalnych możliwości osobistego prowadzenia spraw operacyjnych, a więc poznania od zaplecza kuchni policyjnej roboty. Jako zastępca komendanta miejskiego posiadał wprawdzie szerokie uprawnienia do bezpośredniego nadzorowania działalnością wszystkich pionów operacyjnych komendy oraz podległych jej komisariatów, ale było to jedynie, jak lizanie cukierka przez szybę. Tak więc cała jego wiedza związana z tymi zagadnieniami, pochodziła przede wszystkim z lektury policyjnych protokołów i notatek służbowych, przedstawianych mu zawsze do zatwierdzenia we wszystkich ważnych sprawach, prowadzonych przez przez stare policyjne wygi w wydziałach operacyjnych komendy. Jednakże trzeba mu przyznać, co szybko Palka zauważył, że dokumenty te czytał i analizował bardzo uważnie i szczegółowo, starając się pozostawić w nich swój indywidualny ślad w postaci wielu uwag i poleceń. Faktem było, że nie wszystkie one były przez podwładnych realizowane, co z reguły umykało jego uwadze, kiedy dana sprawa kończyła się sukcesem, zgodnie ze starą regułą, że zwycięzców nikt nie sądzi..

Po wypiciu resztek piwa, wychodzący z lokalu Palka, z zadowoleniem zauważył, że chłopaki z lokalu ewakuowali się bardzo szybko, pospiesznie dokupując przy barze dodatkowe paczki papierosów, aby później nie musieli biegać po prośbie za każdą pojedynczą fajką. Wiedzieli doskonale, że jak wpadną już w ten kierat, to przez kilkanaście godzin na nic czasu mieć już nie będą.

W drodze do komendy zauważył palące się w oknach sekretariatu i gabinetu Żeleźnika światła, co wprawilo go w przygnębiający nastrój, bo świadczyło, że naczelnik wyprzedził go znacznie i jest już na miejscu.

- O, w mordę, szybki jest – pomyślał ze złością - że też to musiało się stać dzisiaj. Niech to szlag trafi. Dziś, kiedy akurat umówił się z chłopakami na piwo. Ot, pieskie życie – skwitował krótko pechowy dla siebie rozwój sytuacji.

Nie śpieszył się, wiedział, że każda dodatkowa minuta pozwoli organizmowi na szybsze przejście w stan całkowitej trzeźwości, zwłaszcza przy w sumie niewielkiej ilości wypitego alkoholu.

Zastanawiając się nad przebiegiem niechybnego spotkania z Żeleźnikiem, nawet nie zauważył kiedy znalazł się pod drzwiami komendy. Rozejrzał się w poszukiwaniu pozostałych, ale okazało się, że był sam. Trochę był zdziwiony, tym bardziej, że zauważył też schodzącego na parter Śmiecha.

- No, jeżeli on jest, to są i pozostali – pomyślał uspokojony.

- Maciek, widziałeś Panienkę? - prawie automatycznie zadał pytanie.

- Kogo? – odpowiedział pytaniem wyraźnie zdziwiony Śmiech, bo nie spodziewał się, że Palka przy nim, na korytarzu komendy, użyje przezwiska, którego Żeleźnik naprawdę bardzo mocno nie cierpiał i reagował bardzo emocjonalnie, gdy dowiadywał się, że ktoś tak o nim mówi. Dlatego policjanci z kryminalnego starali się używać tej ksywy tylko w sytuacjach, kiedy wiedzieli, że są naprawdę

w zaufanym gronie i nikt nie poleci do Żeleźnika z informacją, kto i co na jego temat mówił.

- Eee... szefa... Żeleźnika – zająknął się Pałka, który zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy użył przy podwładnym tej ksywy, która się pojawiła się spory czas temu i której Żeleźnik, o czym wiedział doskonale, szczególnie nie znosił i wymógł kiedyś na Palce przyrzeczenie, że przynajmniej on nigdy nie będzie się nią posługiwał. Teraz zdał sobie sprawę, że faktycznie nie wie, dlaczego tej ksywy użył, ale szybko zaprzestał sobie tym głowę zawracać. Miał poważniejsze problemy.

- Jest już? Bo widziałem światła w jego pokoju?

- Nie, naczelnika jeszcze nie ma, a światło to ja zapaliłem, bo przyszedłem, najwcześniej, aby chłopaki trochę przyspieszyli.

W tej samej chwili drzwi wejściowe do budynku otworzyły się gwałtownie, przez co Pałka ujrzał całą grupę, lekko zziębniętych, niedawnych biesiadników.

- Noo panowie.... – zawiesił na chwile głos, jakby się nagle nad czymś zaczął zastanawiać – z pięć minut widzę wszystkich u siebie, z całym sprzętem. Każdy – ostatnie słowo szczególnie wyraźnie zaakcentował, dając do zrozumienia, że nie będzie przyjmował żadnych tłumaczeń.

Po chwili znalazł się w swoim pokoju i z żalem pomyślał, że szkoda, iż nie ma już sekretarki, która szybko mogłaby przyrzadzić mu gorącą kawę, która zapewne, chociaż w minimalnym stopniu, zneutralizowałaby intensywny zapach chmielowego płynu, wydobywający się z jego ust. Na szczęście przypomniał sobie, że ma w biurku butelkę oranżady cytrynowej, trzymanej tam od kilku dni. Po krótkim namyśle wyjął ją i czując, że jest dosyć ciepława, szybko wypił wprost z butelki, krzywiąc się z wyraźnym wstrętem. Dla sprawdzenia woni wydychanego powietrza, chuchnął sobie w dłoń i szybko pociągnął nosem.

- Chyba jednak nic nie czuć – pocieszył się, z lekkim mimo wszystko powątpiewaniem, co do trafności swej oceny.

Spojrzał na zegarek i doszedł do uspokajającego wniosku, że od czasu telefonicznej rozmowy z Żeleźnikiem upłynęło nie więcej niż 15 minut. Sięgnął po telefon i połączył się z oficerem dyżurnym. Właściwie to powinien wejść do dyżurki zaraz po przybyciu do komendy, ale nie chciał ryzykować skrytego obwąchiwania go przez ciekawskiego dyżurnego i słuchać jego, silących się na dowcip, złośliwych komentarzy. Tak już to w tej komendzie było, że ci z wydziału kryminalnego znajdowali się na szczególnie cenzurowanej pozycji, przez co obawiał się, że mógłby jutro stanąć na dywaniku u Maja, bo wiedział, że dyżurni mieli polecenie informowania go, kto do komendy przychodzi w tak zwanym stanie po spożyciu.

- Cześć, tu Jacek Pałka, podaj mi, co ci jest wiadomo na temat tego zabójstwa i jak masz jakieś papiery, to przygotuj, bo zaraz tam do ciebie kogoś wyślę.

- Cześć – usłyszał w słuchawce - nie myślałem, że się tak prędko uwiniecie. Musieliście gdzieś bardzo blisko być, co? Chyba w przychodni, co? – z niewinną z pozoru ciekawością indagował go dyżurny, który widział ich jakieś półtorej godziny wcześniej, gdy wychodzili całą gromadą i pomaszzerowali w kierunku „Maratonu”, znajdującego się pomiędzy ul. Wysockiego, a Przychodnią Zdrowia

na ul. Browarnej. To właśnie ta lokalizacja powodowała, że lokalowi nadano kryptonim „przychodnia”. Z okien dyżurki miał doskonałe pole widzenia, no i zewnętrzne kamery pozwalały mu na dokładną obserwację tego, co się w koło komendy dzieje.

- Nie bądź taki zbyt ciekawski – Palka zbył go zdawkowo – mów, co jest. Co to za trup, gdzie to jest i skąd pewność, że to zabójstwo?

- Jakieś kilkanaście minut temu zadzwonili z pogotowia ratunkowego - szybko, ale spokojnym głosem, świadczącym o zawodowej rutynie, dyżurny relacjonował to, co było mu o sprawie wiadomym - że w antykwariacie przy Niskiej, to koło Rynku, wiesz gdzie – dyżurny jakby chciał się upewnić, czy Palka jest zorientowany w wałbrzyskiej topografii, ale ten nie zwrócił na to żadnej uwagi - leży trup. To znaczy, leżą zwłoki właściciela tego antykwariatu. Powinieneś go znać, Wiśniewski. On u nas był kiedyś, no dosyć dawno temu, notowany za paserkę. Wiem bo już sprawdziłem – pochwalił się swoją operatywnością dyżurny.

- Na miejscu jest już patrol ze Śródmieścia i zabezpieczyli teren – relacjonował dalej dyżurny - Aha, według lekarza to on mógł być chyba zastrzelony, bo lekarz twierdzi, że jest tam wyraźnie wyczuwalny zapach prochu.

- Dobra, wiem o kogo chodzi. A co z ekipę z kryminalistyki?

- Już są na miejscu, bo akurat technicy byli jeszcze w firmie. Pakują manele i zaraz będą gotowi do wyjazdu.

- W porządku. Przekaż im, aby już wyjeżdżali i niech na nas nie czekają. I jeszcze jedno. Niech dokładnie ogrodzą cały teren taśmą, a ty przekaz tam komu trzeba, aby na miejscu, ci z komisariatu, poustalali i przytrzymali świadków i niech nikogo do środka nie wpuszczają. Bo nogi z dupy powyrywam, jak się okaże, że znów jakieś tam ćwoki pętały się po pomieszczeniu – instruował szczegółowo dyżurnego, wiedząc, że rozmowy z nim są utrwalane na twardym dysku komputera. Ponadto denerwowało go, że zawsze, mimo tylu napomnień, na miejscu okazywało się, że jakiś dureń, który czuł się szczególnie uprawniony, koniecznie musiał wejść przed przybyciem ekipy, aby sobie zwłoki pooglądać.

- Aha, jeszcze jedno. Czy prokuratura powiadomiona? – przez moment pomyślał o tym, kto tym razem przyjedzie na miejsce i czy znów będzie tracił nerwy użerając się ze zbyt ciekawskim prokuratorem, co to od razu chciałby wiedzieć, kto jest sprawcą i kiedy będzie zatrzymany. No i dobrze by było, aby to był ktoś rozsądny, ktoś, kto nie będzie leciał zaraz do Maja z pretensjami, że od policjantów czuć było piwo.

- Nie wiem ... – dyżurny na chwilą zawiesił głos - prokuratora miał powiadomić Żeleźnik i chyba tam się z nim miał umówić. Prawdopodobnie są już tam na miejscu. Jak będziesz schodził na dół to wpadnij jeszcze do mnie, teraz mam telefon z Wojewódzkiej. Dzwoni dyżurny i chce jakieś szczegóły. Co im powiedzieć?

- Powiedz, że grupa już wyjechała, bo my faktycznie już lecimy – odpowiedział Palka, widząc wchodzącą do gabinetu grupę niedawnych współbiedników, oraz wezwanych przez telefon pozostałych pracowników wydziału – i damy znać z miejsca, jak się bliżej zorientujemy, co i jak.

Mówiąc prawdę, to nie chciało mu się już tracić czasu na pogaduszki z oficerem z wojewódzkiej, który i tak w niczym by mu nie pomógł, zabierając tylko cenne minuty, pozwalające im na szybkie opuszczenie budynku, gwarantujące uniknięcie spotkania Żeleźnika, a zwłaszcza Maja i prokuratora.

Przez chwilę zastanawiał się, czy zapytać się jeszcze o jakieś inne szczegóły, aby uzyskać jak najwięcej wiedzy przed przybyciem Żeleźnika, a zwłaszcza Maja, który na pewno będzie od niego żądał szczegółowych informacji w tej sprawie. Nic jednak szczególnego nie przychodziło mu do głowy, więc po zakończeniu rozmowy z dyżurnym, skoncentrował się na szybkim wyekspediowaniu ekipy na miejsce zdarzenia, z góry zakładając, że jak już będą w terenie, to nikt z szefostwa nie zorientuje się, że niektórym podwładnym z ust zalatuje piwem. Wprawdzie Żeleźnik nie zrobiłby z tego żadnego problemu, bo przecież już wiedział gdzie byli, a byli w miejscu, gdzie mieli do tego całkowite prawo, ale lepsze dla chłopaków było uniknięcie możliwości bezpośredniego kontaktu z Majem. Bo po nim spodziewać można było się wszystkiego, a już najbardziej wulgarnego osobaczenia od góry do dołu, bez zwracania sobie głowy poczuciem godności podwładnego, bo coś takiego zapewne nawet mu przez myśl nie przeszło kiedykolwiek. Wiedział coś dobrze na ten temat i wspominał jak najgorzej. Wiedział też, że Żeleźnik niezbyt przychylnie patrzy się na to, że spotyka się z podwładnymi na piwnych biesiadach, obawiając się zapewne, że podczas takich spotkań nie pozostawiają na nim suchej nitki. A tego strasznie nie lubił, tak samo, jak nie lubił spotykać się z nimi w takim gronie. Nikt w zasadzie nie wiedział, jakie tego były prawdziwe powody, a Palka raczej się ich domyślał, niż wiedział na pewno. Jedno jest pewne, że Żeleźnik praktycznie nie uczestniczył w pozawydziałowym życiu swoich podwładnych i chyba na palcach jednej ręki można by było policzyć przypadki, kiedy w ich towarzystwie zdobył się na wypicie nawet najmniejszej ilości alkoholu. Wyglądało to tak, jakby bał się, że pod wpływem alkoholu ujawnią się cechy jego osobowości, które bardzo starał się przed swym środowiskiem ukryć i z tego powodu, tego rodzaju sytuacji za wszelką cenę starał się unikać.

- Jeżeli wszystko macie – zwrócił się do przybyłych - to tylko krótka informacja i wynosimy się stąd.

Szybko zreferował to, czego się sam od dyżurnego dowiedział, rozdzielił wstępne zadania, przypomniał o zasadach łączności i zachowania się na miejscu zabójstwa. Nie miał z tym większego problemu, ponieważ stanowili zgraną i doświadczoną ekipę i każdy w zasadzie wiedział, co i z kim ma robić.

- Panowie, działamy według starych zasad. Działaniami na miejscu kieruje naczelnik. Ja jestem w grupie Maćka, reszta jak zawsze. Aha. Niech każdy postara się o gumę owocową i trochę to piwo przeżuje, zanim dojedziemy na miejsce. Wsio paniali?

- No to jazda – zawołał widząc potakujące gesty kolegów.

Wsiadając do samochodu zauważył podjeżdżający pod komendę radiowóz, z którego wysiadł Żeleźnik wraz z prokuratorem Czają, z którym zawzięcie o czymś dyskutował.

Kierując się w ich stronę, Palka szybko przekazał Śmiechowi, aby poczekał

w samochodzie i jednocześnie utrzymywał kontakt radiowy z pozostałymi grupami.

- Naczelniku, ekipa gotowa do wyjazdu, więc czekać będę na miejscu i sprawdzę też od razu jak tam to wszystko wygląda – Palka, przy osobach trzecich zawsze używał tej formy, zresztą na wyraźne życzenie Żeleźnika.

- Ma może naczelnik jakieś dodatkowe wieści? – zakładał, że nic nowego się nie dowie, ale uznał, że przy prokuratorze takie pytanie wypada zadać.

- Nic nie wiadomo. W antykwariacie na Niskiej leży trup właściciela. Nie ma specjalnie rzucających się w oczy śladów rabunku, bałagan też niewielki. Chłopaki ze Śródmieścia już rozpytują ludzi. Aha, jest dwóch świadków, którzy powiadomili pogotowie. Jedź tam szybko i dopilnuj, aby znowuż czegoś nie spieprzyli. Ja z panem prokuratorem zaraz tam przyjadę, tylko powiadomię wojewódzką, aby potem Rus nie miał do mnie pretensji.

Wiedział, że naczelnik wydziału kryminalnego z wojewódzkiej, Marian Rus, zwany przez kolegów i podwładnych Maćkiem, to stary i doświadczony gliniarz z długim stażem w wydziale dochodzeniowo-śledczym KWP we Wrocławiu, któremu żadnego kitu nie uda się wcisnąć, więc musi się skupić na rzeczach najbardziej istotnych, które powinien Rusowi przekazać. Zdawał sobie sprawę, a raczej wyczuwał, że Rus nie darzy go szczególną sympatią i zachodził w głowę z jakiego powodu. Ponieważ nic uzasadniającego tę niechęć nie mógł sobie przypomnieć, uznał, iż na pewno jest to efektem niepochlebnej opinii o nim, jaka niewątpliwie przekazał Rusowi Zygmunt Drożdź, z którym Rus znał się bardzo dobrze z racji wielu spraw kryminalnych, jakie w przeszłości ich łączyły. Założył tak, ponieważ on sam Drożdźa wręcz nie znosił, więc zakładał, że tamten również darzy go identycznym uczuciem.

Po wejściu do gabinetu Żeleźnik poprosił prokuratora o zajęcie miejsca w jednym z przepastnych foteli, które po objęciu stanowiska przytaszczył skądś do komendy, a następnie połączył się telefonicznie z Rusem. Zanim to jednak uczynił, przez chwile głęboko zastanawiał się, co i jak Rusowi przekazać, aby nie wywoływać szczególnego zainteresowania się sprawą, albowiem wewnętrznie był przekonany, że poradzą sobie sami i przyszłym sukcesem nie będzie musiał się dzielić z policjantami z Wrocławia.

- Witam pana naczelnika, mówi Żeleźnik, chciałem poinformować, że mam trupa, ale wygląda na to, bo pierwsze informacje każą tak sadzić, że chyba nie będziemy mieli z tym większych problemów. Zdaje się, że chodzi o napad rabunkowy i chyba szybko się z tym uwiniemy – mówiąc tak, próbował jak najszybciej z góry ustawić się w pozycji gospodarza, czyli z miejsca spacyfikować ewentualne próby natychmiastowego włączenia się ekipy z województwa.

- Niech pan mówi konkretnie, bez zbędnych komentarzy – Rus, jak zawsze gdy z nim rozmawiał, przybierał bardzo oficjalny ton – Co, gdzie, kiedy jak i kogo. Proszę o szczegóły, a komentarze i uwagi zostawmy sobie na koniec. Słucham.

- Panie naczelniku około godziny 15.47 powiadomiono pogotowie ratunkowe, – Żeleźnik starał się mówić wolno, prawie dyktować – że w antykwariacie przy ul.

Niskiej, to zaraz w sąsiedztwie wałbrzyskiego Rynku znajdują się zwłoki jego właściciela. To niejaki Władysław Wiśniewski, lat 62, pełne dane podam później. Przyczyna zgonu jeszcze nie określona, ale możemy mieć do czynienia z zabójstwem ponieważ w lombardzie widoczne są ślady penetracji. No i ponadto podobno, - słowo to podkreślił szczególnie, aby zasugerować raczej małą wagę uzyskanej informacji - lekarz z pogotowia twierdzi niby, że w pomieszczeniu wyczuł woń prochu, ale to informacja mało precyzyjna. Pochodzi od policjantów z IV komisariatu, którzy na miejscu byli jako pierwsi i rozmawiali z tym lekarzem.

Starał się nie sugerować możliwości zabójstwa z użyciem broni palnej, aby nie dać mocniejszego pretekstu do wysłania na miejsce zbrodni grupy operacyjno-śledczej z Wrocławia, bo uważał, że sami sobie dadzą radę i sukces, co do którego nie miał wątpliwości, będzie zaliczony tylko na ich konto. Ponadto uważał, poniekąd słusznie, że ci z Wrocławia nie mają zielonego pojęcia o wałbrzyskim światku przestępczym i raczej, przynajmniej w pierwszym etapie, bardziej będą przeszkadzać, niż pomagać.

- Świadkowie – zniemacka przerwał mu Rus – czy macie jakichś świadków?

- Świadków jest dwóch – pytanie to zirytowało go trochę, ale mimo to mimo dalej mówił wolno i bardzo wyraźnie – kobieta i mężczyzna. Mamy ich dane, lecz to chyba w tej chwili nie najważniejsze. Do lombardu weszli około godz. 15:40, ale oddzielnie. Pierwszy wszedł mężczyzna. Kobieta za nim, ale to ona zauważyła zwłoki znajdujące się przy drzwiach na zaplecze. Od razu z komórki zatelefonowała na pogotowie, bo, jak twierdzi, myślała, że Wiśniewski zasłabł, że miał atak serca, lub coś w tym rodzaju.

- Czy są jakieś widoczne ślady penetracji, czy w ogóle są jakieś ślady, które mogą przynajmniej wstępnie wskazać na ewentualny motyw. Czy w grę może wchodzić rabunek, czy coś innego? Macie na ten temat jakąś wcześniejszą wiedzę? – seria zadanych zniemacka pytań jeszcze bardziej zaczęła go irytować, bo nie takich pytań się spodziewał i nie na takie był przygotowany.

- Tak, jak już wspominałem, panie naczelniku, policjanci zauważyli chyba jakąś rozbitą szybę gabloty i otwartą kasę pancerną. Aha i jakieś ślady wewnątrz tej gabloty - ale to wszystko niepewne jeszcze.

- A kto powiadomił policję ?

- Policja, to znaczy oficer dyżurny komendy, został powiadomiony przez dyspozytorkę pogotowia po tym, gdy lekarz zgłosił zgon w okolicznościach wskazujących na działania przestępcze.

- Czy określił przybliżony czas zgonu?

- Aha ... to znaczy, tak. Czas zgonu określił na kilka kilkanaście minut przed jego przybyciem.

- To znaczy mam rozumieć, że zabójstwo mogło mieć miejsce na kilka minut przed ujawnieniem zwłok przez świadków? – przytomnie dociekał Rus – Nie można wykluczyć, że widzieli sprawców lub coś dla nas istotnego. Niech pan koniecznie spowoduje, aby tych świadków jak najszybciej dostarczyć do komendy na przesłuchanie. Aha – przypomniał sobie – a czy już są dochodzeniowcy i czy potrzebuje pan naszej pomocy?

- Panie naczelniku, tam na miejscu są policjanci z „czwórki” i to oni pilnują wszystkiego zanim ktoś od nas nie dojedzie. Dyżurny o zdarzeniu dowiedział się kilkanaście minut temu i od razu na miejsce wysłał policjantów z „czwórki”, powiadomił mnie i komendanta miejskiego. Ja już wysłałem tam ekipę ode mnie, a wiem, że jadą już tam dochodzeniowcy i z kryminalistyki ...

- Rozumiem, ale

- Za chwilę i ja tam jadę – Żeleźnik przerwał mu bezceremonialnie, aby nie dopuszczać Rusa do głosu, zanim nie dokończy swojej całej kwestii - z panem prokuratorem, który jest tu u mnie w gabinecie. Tam, na miejsce pojechał już Palka, bo kazałem, aby tych świadków przywieźć do nas, do naszej dyspozycji – skłamał na wszelki wypadek – to pan prokurator będzie mógł uczestniczyć w tych przesłuchaniach – brnął dalej, wiedząc, że akurat taka ewentualność nie spodoba się chyba prokuratorowi.

- Ok – Rus, aby dojść do głosu wykorzystał chwilę przerwy w tyradzie Żeleźnika
- ale czy ma pan jakieś wstępne dane, co do charakteru przestępstwa, czy coś tam zginęło?

- Nie, na razie nic nie mamy i nic nie wiemy, ale to jedynie kwestia czasu – odpowiedź Żeleźnika nie dawała żadnych możliwości do dalszej indagacji.

Od pewnego momentu Rus zaczął zastanawiać się, czy na tym wysłanie grupy z Wrocławia będzie miało jakikolwiek sens, zdając sobie sprawę z tego, że byłaby tam naprawdę mało przydatna. Nie znali jeszcze ludzi, topografii miasta, struktur tamtejszej przestępczości, zbyt mało wiedzieli, co się na tych, dziewiczych dla nich terenach, działo, jakie były i są zależności, jak jest zorganizowany świat przestępczy. Przecież po scaleniu czterech byłych województw mieli za mało czasu i możliwości, aby to wszystko ogarnąć. Jednym słowem brakowało im wiedzy pozwalającej na samodzielne poruszanie się po tym terenie. Bez takiego szczegółowego rozeznania jego ludzie mogliby być potraktowani jak ignoranci, nie dający sobie samodzielnie rady bez pomocy miejscowych.

- Dobrze, rozumiem, że bliższe informacje niebawem pan mi przekaze i że na razie naszej pomocy nie potrzebujecie – pytanie to było bardzo sugerujące, co z miejsca zostało przez Żeleźnika odpowiednio wykorzystane .

- Oczywiście, że damy sobie radę. To dla nas przecież nie pierwszorzyna – zdał sobie sprawę, że te słowa mogłyby być źle przez Rusa zrozumiane, więc szybko dodał – ale jak tylko jakieś kłopoty wyskoczą, z czym muszę się przecież liczyć, to zaraz pana powiadomię.

- Rozumiem – Rus uśmiechnął się, że uwagi o pierwszorzynie nie dosłyszał - więc będzie czekał na dalsze informacje. Czy ma pan jeszcze coś szczególnego do przekazania?

- Naczelniku, na razie wiem tyle ile przekazałem. Jak będę wiedział więcej to będę dzwonił – wyraźnie dążył do zakończenia rozmowy, aby mieć możliwość rozpoczęcia konkretnych działań. Jak zwykle w takich przypadkach obawiał się, że gdy nie będzie go na miejscu, to być może kierujący grupą nie zapanuje nad chaosem, jaki zawsze pojawiał się w pierwszych minutach rozpoczętych czynności. Szybkie i skuteczne opanowanie całości działań, odpowiednie zgranie wszelkich niezbędnych czynności, dawało gwarancję wyeliminowania sytuacji

sprzyjających powstawaniu nieodwracalnych szkód, jakie wyrządzali z reguły najróżniejsze osoby i policjanci kręcący się miejscu zdarzenia i w jego rejonie. Powodowały one powstanie błędów, których niejednokrotnie później nie uda się z reguły usunąć.

– Myślę, że na dzisiaj wystarczy to co mamy, na miejscu są moi, oraz ludzie z komisariatu. Zaraz chyba będzie naczelnik dochodzeniówki to z nim uzgodnię co trzeba. On się połączy w tej sprawie ze swoim naczelnikiem.

- Dobra, to proszę jeszcze o dane denata i adres tego miejsca, no i dane świadków i pamiętać o nadaniu meldunku do oficera dyżurnego. Jak nasza pomoc okaże się jednak niezbędna to proszę dzwonić do mnie, niezależnie od godziny. Ja zaraz powiadomię szefa i gdyby co, to będę do pana telefonował – na chwilę zawiesił głos, tak jakby o czymś starał sobie nagłe przypomnieć.

- Aha, panie naczelniku, proszę mi jutro przesłać wstępną analizę sytuacji. Być może jutro ktoś od nas przyjedzie, bo coś mi się wydaje, że my tę sprawę będziemy musieli objąć nadzorem. No i bierzcie się za robotę i życzę panu sukcesu.

Żeleźnik z ulgą odłożył słuchawkę i rozsiadając się wygodniej w fotelu, przez moment nie zwracał żadnej uwagi na prokuratora, jakby o nim na chwilę zapomniał. Jego myśli krążyły jeszcze wokół rozmowy z Rusem i potrzebował chwili czasu, aby zrzucić z siebie podenerwowanie, jakie zawsze pojawiał się, gdy z tym człowiekiem musiał rozmawiać.

- Chyba go nie lubię – skonstatował po chwili w myślach.

- Co, z szefem pan rozmawiał? – zagaił z lekka zniecierpliwiony przedłużającym się milczeniem prokurator, który przez cały czas tej telefonicznej rozmowy myślał intensywnie, o której godzinie uda mu się wyrwać do domu, gdzie na pewno czekali już zaproszeni na dziś goście. Wcale nie uśmiechało mu się uczestniczyć w jakichkolwiek wstępnych czynnościach i przesłuchaniach, kiedy w domu ma urodziny żony i szykuje się fajna zabawa z udziałem samego szefa.

- I co, będzie miał pan jakieś wsparcie? Bo wie pan, panie naczelniku, ja mam taką propozycję, abyśmy pojechali tam na miejsce, aby się szybciotko zorientować, co zostało już ustalone. Potem wrócimy tu i chciałbym się spotkać jeszcze, tu u pana, z naczelnikiem dochodzeniówki, aby ustalić, co i jaki będziemy robić. To znaczy abyśmy ustalili jakąś koncepcję działania, bo wie pan, wydaje mi się, że moja obecność, mając na uwadze aktualny stan faktyczny, nie jest specjalnie niezbędna. Umówimy się na jutro, zresztą nawet nie wiem, czy ta sprawa zostanie mi akurat przydzielona, a mając już jakiś konkretny obraz, podejmiemy razem z szefem decyzję. Co pan na to? – spytał, wiedząc z góry, że jego gospodarz nie odważy się na jakikolwiek gest sprzeciwu.

- Dobra, panie prokuratorze, jedziemy na miejsce, ale wpadnijmy jeszcze do dochodzeniówki, może już będzie Władek, to znaczy naczelnik, to zabierzemy go ze sobą. Pogadamy tam, na miejscu.

Będąc już w drzwiach na korytarz, przypomniał sobie, że na miejscu może nie zastać Palki i dlatego wrócił się, aby przez radio uzgodnić z gdzie się spotkają oraz przekazać, aby postarał się przygotować dla prokuratora, jak najwięcej informacji. Po zakończeniu rozmowy dogonił zmierzającego już do drzwi

wyjściowych z komendy prokuratora. Na wewnątrz oczekiwał na nich naczelnik dochodzeniówki, w którego towarzystwie szybko wsiedli do oczekującego radiowozu, by po kilku minutach jazdy zatrzymać się przy antykwariacie.

W okolicy antykwariatu, mieszczącego się około 250 metrów od wałbrzyskiego Rynku, na którym o takiej porze znajdowało się zawsze mnóstwo ludzi, zastali spory tłum napierający na biało-czerwone taśmy rozpięte przez policjantów, odgradzające teren lombardu od pozostałej części ulicy. Żeleźnik szybko odnalazł Palkę i z miejsca polecił mu odsunięcie na dalszą odległość rosnącego tłumu, zaciekawionego tym, co się przy i w antykwariacie działo. Palka szybko poinformował go, że ludzie z wydziału i komisariatu przeczesują to zbiegowisko w nadziei na wyłapanie jakichś świadków, bo jak na razie nie mają nikogo, kto dysponowałby jakąś konkretną wiedzą, do przesłuchania. Wysłuchawszy tej informacji wraz z prokuratorem weszli do antykwariatu z zamiarem obejrzenia tego wszystkiego od środka.

Wnętrze lokalu wyglądało na pierwszy rzut oka normalnie, tak jakby się tam nic szczególnego nie stało. Dopiero uważniejsza lustracja pozwalała dostrzec kawałki waty leżące przy jednym z regałów stojących przy wejściu na zaplecze pomieszczenia. Jedno, co z miejsca rzuciło się Żeleźnikowi w oczy, to otwarta kasa pancerna stojąca przy jednej ze ścian pomieszczenia.

- Oho, chyba jednak rabunek – przeleciało mu przez głowę.

Zwłok już nie było, bo akurat przed chwilą zostały zabrane do prosektorium przy ul. Żeromskiego, przez pracowników czarnego pogotowia, jak z równie czarnym humorem, mawiali policjanci.

Po pomieszczeniu uwijało się dwóch techników kryminalistyki i towarzyszący im trzech dochodzeniowcy, wraz z fotografem pstrykającym raz za razem fotografie wskazanych mu miejsc i śladów. Widać było, że oględziny miejsca zbrodni rozpoczęły się praktycznie przed chwilą. Przy głównej ladzie zauważył Śmiecha, który rozmawiał z jednym z techników. Skinął na niego przywołując go do siebie.

- Słuchaj Maciek, weź mi to wszystko krótko, ale dokładnie zrelacjonuj. Co już wiecie i jak to wszystko wygląda na obecną chwilę.

- Szefie, na razie dużo nie wiemy. Generalnie to wygląda tak, że facet został chyba czymś zasztyletowany. Nie wiem, jakieś cienkie dłuto, sztywny drut stalowy. Coś w tym rodzaju. Lekarz nie ma pewności, ale stwierdził pięć takich śladów, coś w rodzaju, niewielkich rozcięć na ubraniu po obu stronach. A więc przechodzących na wylot. To takie przebicia jakby, czy ja wiem – przez chwile zastanawiał się głęboko – jakby cienkim twardym prętem. Na ciele natomiast znajdują się ślady dokładnie pod tymi dziurami w ubraniu. Prawdopodobnie to rany przelotowe, więc albo jakiś cieniutki, albo – tu się ponownie wyraźnie zawahał - no nie wiem, coś w rodzaju cieniutkiej szpady. Nie wykluczam też, że z czegoś do niego strzelano, bo podobno lekarz wyczuł silną woń prochu.

Po tych słowach Śmiech rozejrzał się dookoła pomieszczenia i nagle zdecydowanie dokończył swoją relację.

- Myślę szefie, że tu może chodzić o jakąś małokalibrową broń palną i musimy dokładnie spenetrować ściany, podłogi i te półki z książkami, czy akurat tam nie

będą tkwić pociski. Zaraz przekażę to technikom. Zresztą, jak zrobimy dokładne oględziny tego całego burdelu, to będziemy wiedzieć więcej. Jedno można powiedzieć, że obrażenia te wskazują wyraźnie, że sprawca miał zamiar zabicia tego gościa i zrobił to skutecznie. Uderzał lub strzelił kilka razy, aby mieć pewność.

W miarę wypowiedzanych słów Śmiech dostrzegł na twarzy prokuratora nieskrywany grymas dezaprobaty, wskazujący, że ma on jakieś wątpliwości, co do słuszności zaprezentowanego toku rozumowania policjanta.

Faktycznie, prokuratorowi coś w tym wszystkim nie pasowało, ale wolał się nie odzywać, aby w razie czego nie narazić się na jakieś kpiące komentarze bardziej przecież od niego doświadczonych policjantów. Ponadto, jak na razie, nie był w stanie swoich wątpliwości bardziej sprecyzować. Miał jednak wrażenie, że to musiało wyglądać trochę inaczej, niż mówił ten pewny siebie policjant.

Po udzieleniu niezbędnych informacji Śmiech odszedł na bok, aby porozmawiać z technikami i dochodzeniowcem kierującym oględzinami na temat swej nagle powstałej teorii, aby dokładnie przeszukali wszystkie ściany i regały, w których mogły utkwąć poszczególne małokalibrowe pociski. Gdy skończył uzgadnianie kolejności niezbędnych czynności, przyłączył się ponownie do Żeleźnika i prokuratora, którzy w milczeniu przyglądali się pracy policyjnej ekipy.

- Szefie – Śmiech zwrócił się do Żeleźnika, tak jakby ignorował obecność prokuratora - na razie technicy nie ujawnili nic szczególnego, ale jest jeszcze jedna ciekawa rzecz. Mówiąc to podszedł do oszklonych gablot tworzących coś w rodzaju lady przegradzającej lokal i wskazał na pozbawianą szyby, górną część, gabloty.

- Widzi szef – dotknął lekko palcem w odsłoniętą jej część – ta szyba, która zamykała gablotę z góry, została wyjęta i odstawiona pod ten regał przy ścianie. Szefie, ona została wyjęta – mocno to słowo zaakcentował – a ja się zastanawiam dlaczego nie rozbita. Ślady na tej półeczce – kiwnął głową w stronę wewnętrznej półki z wyraźnie odcisniętymi w kurzu kręgami wskazującymi, że leżały tam jakieś medale bądź monety o różnych gabarytach – wskazują, że sprawca, że ktoś – poprawił się – tę półkę zdjął i takim trochę kolistym ruchem zgarnął to, co tu leżało. Prawdopodobnie monety. Ustalamy to. Ale dlaczego tę szybę wyjął? Żal mu szkła było, czy szkody nie chciał uczynić? Nie wiem, dziwne to trochę jest.

- Ciekawe – mruknął Żeleźnik – I co dalej?

- Technicy już ujawnili na tej szybie jakieś paluchy i wszystko wskazuje na to, że mogą to być ślady tego, kto tę szybę zdjął. Tak jakby chciał nam swoją wizytówkę pozostawić.

- To znaczy, że możemy liczyć na ślady papilarne sprawcy – milczący dotąd prokurator popisał się nagle swoją znajomością fachu.

- Zapewne tak – potwierdził Żeleźnik nie potrafiący ukryć swego zadowolenia. Dysponowanie takimi śladami dawało prawie stuprocentowe szanse na ustalenie sprawcy, o ile faktycznie od niego pochodziły, a na co bardzo liczył.

- No, ja myślę, że tak. Wygląda na to, że to mogą być ich paluchy – również Śmiech nie miał wątpliwości.

- Macie coś innego? – Żeleźnik z uwagą rozglądał się po pomieszczeniu, jakby wypatrywał czegoś, czego technikom nie udało się dostrzec i zabezpieczyć, a na co on mógłby wskazać, dowodząc tym samym, że nie na darmo na miejscu zabójstwa się pojawił.

- Na razie nic, ale jestem przekonany, że coś jeszcze musi być, bo dopiero zaczęliśmy babrać się w tym bajzlu. No i czekam na informacje, czy znajdują się pociski, czy nie. Według mnie długo chyba nie poczekamy – jego głos znamionował pewność, co do tego, że jednak będą mieli do czynienia z bronią palną.

- Jedno mnie dziwi, szefie – podszedł do szeroko otwartej kasy pancерnej w której wnętrzu widać było kilkanaście klaserów zawierających liczne, prawdopodobnie srebrne, monety, - już tylko z pobieżnego oglądu można sądzić że monet tych jest to, co najmniej, kilkadziesiąt. Myślę, że posiadają jakąś wartość numizmatyczną i rynkową. I to raczej nie małą.

Śmiech ostrożnie, łapiąc dwoma palcami za brzeg klasera, wyjął jeden z nich i podsunął Żeleźnikowi pod oczy.

- Niech szef zobaczy, to nie jest jakieś tam badziewie. To są, na moje oko, jakieś zbiory, więc muszą mieć swoją wartość. Po co więc klienci dźgają faceta i pozostawiają tyle dobra zabierając jakieś barachło z tej gablotki.

- Faktycznie, jest to bardzo zastanawiające – potwierdził prokurator. Poczł wreszcie potrzebę wydania konkretnych dyspozycji, mających podkreślić jego faktyczną rolę w tych czynnościach.

- Proszę, aby pan zwrócił szczególną uwagę na wszelkie wartościowe przedmioty, jakie tu ujawnicie i niech to panowie dokładnie opiszą i sfotografują. To znaczy, gdzie się znajdowały i jak były zabezpieczone. Myślę też, że należałoby szybko skontaktować się z rodziną i ustalić, co w ogóle się w tym lokalu znajdowało, a czego brakuje. To, panowie, – zwrotem tym zaznaczył, że słowa swoje kieruje do obydwoh towarzyszących mu policjantów – może mieć największe znaczenie w ustaleniu nie tylko motywu, ale i kręgu podejrzanych.

Przez dłuższą chwilę prokurator przyglądał się otwartej kasie pancерnej i zastanawiał się nad czymś głęboko. Od razu, dla każdego uważnego obserwatora, rzuciło się w oczy, że w pomieszczeniu tym znajduje się zbyt wiele cennych przedmiotów, które najwidoczniej nie znalazły się w jakimkolwiek zainteresowaniu osoby, bądź osób, które dokonały zabójstwa. Prokurator zaczął uważnie przyglądać się leżącym w sejfie klaserom i po chwili jeden z nich podniósł bliżej oczu, aby dokładnie przyjrzeć się monetom, które stanowiły jego zawartość.

- Tak, to bardzo dziwne i raczej nie chęć zysku nimi kierowała – stwierdził zdecydowanie.

Ostrożnie odłożył na swoje miejsce trzymany klaser i dosyć niespodziewanie, w kategoriycznym tonie, nakazał Śmiechowi, aby natychmiast, w jego obecności dokonać dokładnej fotograficznej dokumentacji zawartości sejfu.

Słyszcząc to, Śmiech bez żadnego komentarza przywołał stojącego w pobliżu fotografa.

- Słuchaj – zwrócił się do niego – zrób mi dokładne fotki tej kasy, ale wiesz, tak

w ogólnym planie, a następnie fotografuj warstwa po warstwie wszystko to, co się w niej znajduje. Rozumiesz? Chodzi mi o dokładne obfotografowanie wszystkiego, nawet najmniejszego gówieńka. Fotograf ze zrozumieniem kiwnął głową i po uzgodnieniu, który z dochodzeniowców będzie jego czynności opisywał, zabrał się z wyraźną ochotą do zleconej mu pracy.

Po chwili Śmiech odszedł gdzieś na bok i po powrocie zameldował Żeleźnikowi, że zgodnie z sugestią prokuratora zorganizował dwóch dochodzeniowców i jeszcze jednego technika, którzy mieli zająć się dokładną dokumentacją wszystkich wartościowych przedmiotów znajdujących się w pomieszczeniu.

- Ok, ale jak tylko coś będzie zaraz mi melduj, a ja z panem prokuratorem przejdę się na zewnątrz zobaczyć, co tam się dzieje – Żeleźnik skwitował przekazany mu meldunek i wraz z prokuratorem, który jakby zapomniał o wypowiedzianym wcześniej życzeniu, wyszedł na ulicę.

Nie poinformowano ich jednak, że tuż po ich wyjściu z lombardu, jakaś policyjna sierota, zanim opisano i sfotografowano zawartość kasy, przez nieuwagę zatrzasnęła grube pancerne drzwi. Okazało się, że na miejscu nie ma klucza, aby kasę ponownie otworzyć i po krótkiej naradzie dochodzeniowców postanowiono, że szafę otworzy się w dniu jutrzejszym i wówczas, w ramach uzupełnienia oględzin sporządzi się i protokół zawartości kasy, jak i dokumentację fotograficzną. Jak się jednak okazało, jeden z techników, zanim zatrzaśnięto drzwi sejfu, zdążył wcześniej wykonać kilka fotografii tak zwanego planu ogólnego, na których, chociaż niebyt wyraźnie, widać wnętrze sejfu i leżące w nim klasery. Fotografie te w nieodległej przyszłości będą powodem wielu kontrowersyjnych opinii tych, którym przyszło później analizować akta tej sprawy.

Wychodząc z lombardu, Żeleźnik i prokurator skierowali się od razu w stronę stojących w pobliżu dwóch umundurowanych funkcjonariuszy, z których jeden rozmawiał z kimś przez radiotelefon. Polecił im połączenie się z oficerem dyżurnym i ustalenie, czy do prosektorium dojechał już medyk sądowy i kiedy rozpocznie się sekcja. Postanowił udać się w to miejsce i być obecnym przy oględzinach ciała, aby bezpośrednio od lekarza uzyskać informacje dotyczące obrażeń zewnętrznych i ewentualnej przyczynie zgonu. Po uzyskaniu potwierdzenia, że medyk sądowy już jest na miejscu postanowili niezwłocznie udać się tam i Żeleźnik zaczął rozglądać się za radiowozem, który dyżurny oficer przydzielił mu do dyspozycji. Rozglądając się zauważył idącego w ich kierunku Śmiecha. Widać było, że jest wyraźnie poruszony.

- Szefie – prawie wykrzyknął – zdaje się, że miałem rację. Tu padły strzały, a ten lekarz dobre ma powonienie. Technicy znaleźli pociski i to bardzo charakterystyczne.

Mówiąc to potrząsał foliowymi woreczkami, w które zapakowane był odnalezione w antykwariacie pociski. Żeleźnik i prokurator przez dłuższy czas przyglądali się im w milczeniu, a niezniecierpliwiony Śmiech nie mógł się doczekać, aż dadzą mu znak, by mógł przekazać im dalsze informacje.

No mów, co tam masz – Żeleźnik wskazał na trzymaną w ręku foliową torebkę z dowodami.

Z lekka podniecony, co mu się rzadko na miejscu zbrodni zdarzało, Śmiech złożył im obszerną relację, z której wynikało, że Wiśniewski został jednak zastrzelony i to z charakterystycznej raczej broni, bo strzelającej pociskami zrobionymi jakby z gwoździ wytoczonymi raczej sposobem samodzielnym na tokarce. Te dziwne, cienkie kilkucentymetrowe pociski, tkwiły w przebitych nimi książkach, znajdujących się na regale, przy którym leżały zwłoki. Ich kształt wyjaśnił im, jak powstały te dziwne ślady sugerujące uderzenia zadane ostrym cienkim przedmiotem.

- Takie, jak kilka lat temu na Podzamczu, szef pamięta? - Śmiech nawiązał do niewykrytego przed kilku laty zabójstwa niejakiego Rączkowskiego, zastrzelonego we własnym garażu na terenie tej dzielnicy.

- Pamięta szef, że tam pocisk był wytoczony chyba z gwoździa, albo czegoś podobnego. Te tutaj, też bez żadnych wątpliwości, pochodzą samodzielnie, bo i lekarz mówił o wyraźnym zapachu prochu, jaki wyczuł, gdy przybył na miejsce, a więc możemy mieć do czynienia z takim właśnie gównem. Co szef o tym myśli?

- A co tu można myśleć – gwałtownie odpowiedział, nagle i nie wiadomo dlaczego poirytowany Żeleźnik – zabójstwo raczej oczywiste.

- No to mamy, panie naczelniku, zabójstwo z użyciem broni palnej - skwitował prokurator - tylko zastanawia mnie, co to mogła być za broń, strzelająca tak dziwnymi pociskami. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Domyślam się jedynie, że może wchodzić w rachubę broń samodzielną – pochwalił się znajomością fachowego nazewnictwa, w odróżnieniu od większości policjantów używających popularnego określenia samopał.

- Też tak myślę, panie prokuratorze, że to zapewne jakaś samoróbka – potwierdził domysłu podwładnego i prokuratora Żeleźnik.

- Być może ktoś przerobił taki pistolet na gwoździe, jaki się używa do zabijania bydła. Mogą na to wskazywać te gwoździe właśnie – przypomniał sobie, że gdzieś, kiedyś, słyszał o takim przerobionym urządzeniu, wykorzystanym do zabójstwa. Nie mógł tylko skojarzyć kiedy i w jakich okolicznościach taka informacja do niego dotarła. A może to było w jakimś amerykańskim kryminale, pomyślał zniechęcony brakiem pamięci.

- Tak, to nie jest wykluczone. Ale może to być też taki pistolet do wstrzeliwania kołków w ścianę, albo pistolet tapicerski – ponownie popisał się swoją fachową wiedzą prokurator, który kilka lat wcześniej był świadkiem, jak jego szwagier kołki takie wstrzeliwał w trakcie naprawiania sfatygowanej trochę kanapy, trzymanej przez teściową w działkowej altanie.

- Myślę, panie prokuratorze, że tym sposobem krąg ewentualnych podejrzewanych możemy znacznie ograniczyć. Te dowody mogą okazać się kluczowymi w tej sprawie – optymistycznie podsumował te ich rozważania Żeleźnik, któremu nie wiadomo z jakich powodów, myśl o tym, że mógł to być pistolet tapicerski, bardzo przypadła do serca.

- Oczywiście – zgodził się prokurator – i dlatego trzeba będzie szybko zorganizować sprawna akcje zabezpieczenia wszelkich miejsc występowania takich urządzeń w naszym mieście. To może być żmudne, ale sądzę, że tym

tropem szybko na sprawców wyjdziemy. Chociaż tego typu urządzeń może być jednak sporo – dodał po chwili zastanowienia.

- E tam, panie prokuratorze – swobodnym tonem skwitował te uwagi Żeleźnik – nie takie drobiazgi skutecznie odnajdywaliśmy, kiedy była potrzeba. I również tę rusznicę odnajdziemy. Choćby pod ziemią – zakończył efektownie.

Mówiąc to, nie przypuszczał nawet, że te luźno rzucone uwagi zadecydują później o losie dwóch młodych chłopaków, uznanych za wyrafinowanych zabójców i jak betonowe buty, sprawiane swym ofiarom przez sycylijską mafię, zaciążą nad całym ich życiem, wciągając ich na długie lata w więzienną otchłań.